

Dolina Zerawszanu - początek drogi na koniec świata

Autor: Krzysztof Sornat
11.10.2009.
Zmieniony 13.03.2010.

(Aby przenieść się w bajkowy tadżycki nastrój, podczas czytania relacji słuchaj: Howard Shore - Lord Of The Rings - Main Theme) Tadżykistan, Ajni, 2008-07-20

Winorośl oplatająca altanę mieni się w porannym słońcu. Ta woń oznacza jedno - będzie dzisiaj gorąco. Znam ten letni zapach tylko z Polski. Tutaj jest trochę inny, taki tajemniczy. Powietrze jest bardzo orzeźwiająca, ale owa winorośl nie sprawia wrażenia żywej, jest jakby sucha. Małe owoce pewnie są jadalne, ale nie odważyłbym się wziąć ich do ust. Tym bardziej teraz. Chociaż noc minęła mi mniej boleśnie, to jednak budziłem się co chwilę.

Minąłem domowników śpiących na tarasie pod kocami. W nocy nie było ciepło. Ciekawe, gdzie śpią w zimę. Wszedłem do budynku. Pokój nie jest już taki interesujący jak wczoraj. Chyba się przyzwyczajam. Na ścianach wiszą kolorowe dywany. Podłoga zwyczajowo pokryta kilkoma warstwami różnokolorowych wykładzin. Irek już wstał.

- No i jak się czujesz?

- Super to może nie, ale już lepiej niż wczoraj.

- Będzie dobrze. Dominika miała to samo.

Tym się pocieszałem. A już myślałem, że jestem wielki Harpagan, któremu inna flora bakteryjna nic nie zrobi. Spokorniałem, jeśli chodzi o kwestię mojej odporności fizycznej. A wszystko przez to, że zachciało mi się napić soku w restauracji. Godzinę później:

"Internet service provider" - czytam na jednym z szyldów. Pełny zasięg w telefonie. To dziwiło tylko w pierwszych dniach pobytu w Tadżykistanie. Do tego też się szybko przyzwyczałem. A to dopiero początek podróży na koniec świata. Krowy na środku ulicy są dla mnie o tyle egzotyczne, że jest to główna droga w mieście. Ajni może nie jest duże, ale jest to swego rodzaju miasto wojewódzkie, przez które przechodzi główna trasa kraju (żeby nie powiedzieć "autostrada"). No i ta tadżycka "A1" krzyżuje się z rzeką Zerawszan. Nie wspominałbym o tym przecięciu, gdyby nie fakt, że bardzo mi zaimponował most nad tą rzeką. Ile to różnych norm bezpieczeństwa musi spełniać europejski most? Tutaj kładka jest użytkowana, jeśli po prostu stoi i po skorzystaniu z niej nadal się tam znajduje. Ulica i okoliczne góry nie są mi obce, mimo że jestem tu pierwszy raz. Widziałem już to na fotografiach sprzed roku. Zdjęcia te były takie niezwykle, takie inne. Dziwnie wyglądają okoliczne pagórki w rzeczywistości. W sumie to czuję się jakbym nadal oglądał fotografie. Nasz kolega, który został poinformowany przez Rustama, gdzie chcemy jechać i kiedy wrócić, w końcu dogadał się z kierowcą Łady Niwy. Idziemy do samochodu przenosząc plecaki i torbę z całym żelastwem do wspinaczki. W samochodzie siedział już jakiś dziadek z tiubietijką na głowie, a obok niego chłopiec. Zająłem wygodne miejsce z tyłu. Dziadek próbuje mówić do mnie po rosyjsku, ale z pomocą Irka informujemy go, że "ja tylko English". Dosiada się jeszcze jeden mężczyzna. Jednak droga do Ajni była luksusowa, gdy jechaliśmy tylko we dwójkę, plus kierowca. Ale może to i lepiej, bo przy większym ścisisku może nie będzie tak rzucało na zakrętach i dziurach. Irek siada z przodu, ale żeby nie miał za wygodnie, to dostaje kuchenkę mikrofalową na kolana. I tak powinno mu wystarczyć boczne okno z widokiem na Zerawszan.

Wyjeżdżamy z Ajni, a ja zafascynowany obserwuję tę cudowną krainę. Krowy i owce pasą się na tej, jak dla mnie, suchej łące. Gdziekolwiek są drzewa i krzewy, a za urwiskiem góry piasku i kamieni. Mijamy po drodze miejscowych pracujących w polu. Kobiety noszą dzbany na głowie albo wraz z dziećmi za pomocą sierpów wycinają jakąś trawę - nie mam pojęcia co to jest. Czasem drzewa rosnące na piasku i kamieniach po drugiej stronie doliny urozmaicają krajobraz. Chociaż ten nie jest nudny, bo można zauważyć ciekawe formacje skalne wypłukiwane przez wodę. I w końcu ujrzałem tę szarą wstęgę, co zwie się Zerawszan. Ponura i chłodna rzeka. Irek tłumaczy, że to woda z lodowca na końcu doliny. Raz wzburzona pokazuje swą potęgę, a raz leniwie po prostu sobie płynie. Podróżujemy wzdłuż doliny, "zaliczając" mnóstwo serpentyn i jadąc raz w górę, a raz w dół. Współtowarzysz mówił przed wyprawą, że to taka droga jak u nas polna, tylko dwa razy szersza, i która kończy się kilkusetmetrowym urwiskiem. Nie kłamał. Adrenalina utrzymuje się na wysokim poziomie, szczególnie na zakrętach, gdzie odległe wody Zerawszanu stykają się z brzegiem naszej drogi. Cuda tutejszej architektury w postaci mostów powaliłyby z nóg, gdybyśmy stali, a nie jechali samochodem. Improwizacja wydaje mi się najlepszym określeniem na te kładki. Po godzinie mój entuzjazm osłabł. Monotonia wykończyła mnie i chciałem jak najszybciej dojechać do Madriuszki. Kilka godzin później:

Obudziłem się. Nadal siedzę w samochodzie. Już długo jedziemy sami, bo pozostali już dawno wysiedli. Chmury zaczynają się zbierać i ciemnieją. Zaczyna padać i robi się chłodno. Irek mówi, że minęliśmy Madriuszkę, wioskę, w której był z Dominiką rok temu. Teraz i dla niego ta droga jest nieznana. Wrażenie

robią wąwozy wymyte przez rzeki po drugiej stronie doliny. Widać także ośnieżone szczyty. Zastanawiamy się, czy któryś z nich to Pik Samarkand. W pewnym momencie koryto Zerawszanu rozgałęzia się na kilka mniejszych, a szerokość wypłaszczenia na dole doliny jest widokiem niezwykłym. W deszczu jakiś chłop z kobietą wracają z pola. Kierowca zatrzymuje się i rozmawia z mężczyzną. W końcu ten wsiada, a niewiasta zostaje sama. Szkoda mi się jej zrobiło, ale taka tutaj jest kultura. Zjechaliśmy z drogi głównej i zbliżamy się do przeprawy przez rzekę. Tak bardzo się jeszcze tutaj nie bałem. Metalowy most, trzaskające metalowe płyty, na które wjeżdżaliśmy, a pod nami rwący Zerawszan, który na tym przewężeniu koryta pokazał swoją siłę. Kilka sekund i jesteśmy na drugim brzegu. Wracamy na wschód. Deszcz przestaje padać. Wjeżdżamy do wioski Volgond. Widok i zachwycał, i nie. Ciekawe było to, w jakich warunkach żyją ci ludzie i jak sobie w nich radzą, ale myśl, że mamy się tutaj zatrzymać, niepokoiła mnie. Bardzo. Zaraz zeszli się chłopci z całej wioski. Każdy wyglądał co najmniej jak z mafii. Po deszczu droga wygląda jak błoto z domieszką kamieni. Chatki zlepięte są z kamieni, a zaprawa miała chyba coś wspólnego z krowami. Ale nawet tutaj Tadźcy ubierają się bardzo kolorowo, aczkolwiek barwy często przykryte są kurzem i błotem. Co ja tu robię? Jakie to jest dziwne, ale zarazem prawdziwe! To nie jest sen, to rzeczywistość. Tutaj już jest początek końca świata. Przyszedł jakiś ważny dziadek - pewnie swego rodzaju sołtys. Rozmawia po rosyjsku z Irkiem. Mimo ich wyrazów twarzy są nastawieni przyjaźnie - tak przynajmniej mówi mój towarzysz podróży. Zanosimy plecaki do domku. Nie jest już tak przyjaźnie jak u pana, który wysiadał wcześniej z samochodu, który to zaprosił nas na jedzenie. Tutaj dywany nie były już takie kolorowe i czuć było wilgoć. Irek po rozłożeniu mapy stwierdził, że nie ma pcheł. To z powodu zeszłorocznych doświadczeń z drugiej strony rzeki. Poszliśmy na spacer po wiosce. Intonacja głosu dzieci, które szły za nami, wskazywała, że chcą nam zrobić krzywdę. Choć inne nowo spotkane dzieci były uśmiechnięte i witały się z "białasami". Gdy wyszliśmy z wioski, Irek zadzwonił do Dominiki i poinformował ją, jak sytuacja się przedstawia. Powtórzę - Irek zadzwonił! Był zasięg! Zresztą anteny satelitarne w osadzie również mnie zaskoczyły. Spacer po Volgondzie pozwolił mi przyjrzeć się okolicy i przypomnieć sobie, że jesteśmy w górach. W oddali białe pięciotysięczniki, a tu blisko - zielone pola. Kobiety i dzieci chodziły po polu i poprawiały meliorację. Od odpowiedniego nawodnienia upraw zależy istnienie ich wioski. Wróciliśmy do chatki Sołtysa. Pojawiło się jedzenie - dziwne zupy, głównie z ryżem, mięsem i ziemniakami. Najedliśmy się do syta. Zielona herbata jak zawsze kapitalna. No i cukierki - to tutaj podstawa, mimo ich starości nadal były zjadliwe. Chłopaki przyniosły telewizor, antenę przeciągnęli przez okno i uruchomili agregat. To było u nich prawdziwe święto. W sumie to się nawet głupio czułem, że oni są dla nas tak bardzo gościnni. A przecież my nie potrzebowaliśmy tych ich luksusów. Niemniej jednak to właśnie powodowało u mnie wielki szacunek do nich, że mimo takiej biedy i niedostatku starali się dać nam to, co mają najlepszego. Mięsa na pewno codziennie nie jedzą. Może raz w tygodniu albo raczej w miesiącu. Telewizja po rosyjsku jakoś mnie nie fascynowała, ale obserwowanie zachowania Tadźyków było ciekawe. Ich reakcje na sytuacje w serialu byłyby takie inne od polskich - to chyba była dla mnie największa atrakcja. Ta odmienność. Inne spojrzenie na świat. Fascynujące. autor: Krzysztof Sornat
korekta: Anna Wodniak